

A woman with long, wavy blonde hair, seen from behind, stands on a balcony looking out over a town. She is wearing a light blue, long-sleeved dress with a full skirt and a large bow at the back. A large Spanish flag is draped across the top of the frame, partially obscuring the sky. The town below has red-tiled roofs and is set against a backdrop of hills under a clear blue sky.

Katarzyna  
Nowosielska  
*Hiszpański  
brat*

Katarzyna  
Nowosielska

*Hiszpański  
brat*

Copyright © by Katarzyna Nowosielska  
*All rights reserved*

Redakcja i korekta:  
Anna Skóra

Projekt okładki, skład i łamanie:  
Studio Graficzne Pixelnoiz

Ilustracja na okładce:  
Studio Graficzne Pixelnoiz

<https://kasianowosielska.pl>  
<https://www.facebook.com/kasia.nowosielsk/>  
[https://www.instagram.com/kasia\\_nowosielska/](https://www.instagram.com/kasia_nowosielska/)

Wydanie I

ISBN  
druk: 978-83-953961-7-5  
e-book: 978-83-953961-8-2



## O AUTORCE

Prawnik z wykształcenia, a z pasji i zawodu mediator, trener mentalny, terapeuta z zacięciem pisarskim.

W trakcie studiów prawniczych, a później pracy w kancelariach i działach prawnych firm uznała, że proces na sali sądowej jest nudny, inny niż jej wyobrażenia.

Postanowiła nie iść utartymi ścieżkami, tylko wziąć sprawy w swoje ręce i popłynąć pod prąd. Od zawsze kochała pisać, została więc dziennikarką prawno-medyczną. Wówczas odezwała się w niej społeczna dusza, bo zainteresowały ją medycyna, psychologia i rozwój człowieka. Przekwalifikowała się zatem na mediatora i od lat pomaga skłóconym małżonkom i firmom rozwiązywać kryzysy. Po drodze została trenerem mentalnym, bo lubiła zachęcać ludzi do wdrażania pozytywnych zmian, nawyków w ich życie. Psychologia pochłonęła ją tak, że poszła na studia terapeutyczne.

Dziś z powodzeniem łączy pracę mediatorską, terapeutyczną i trenerską z pisanem książek, gdyż pasja do słowa pisanego w niej pozostała. Tworzy także pomocne w rozwoju osobistym filmy, które publikuje na Instagramie, YouTube czy Tik-Toku.

Napisała cztery rozwojowe książki: *Droga do szczęśliwego związku*; *Szanuj siebie i innych najlepiej, jak potrafisz*; *TurboNawyki. Małe rytuały, które znacznie podnoszą jakość życia*; *TurboNawyki 2. Małe rytuały, które ocieplą twoje domowe relacje*.

Poza tym kocha podróże na Półwysep Iberyjski, hiszpański język, jedzenie, muzykę i Andaluzję. Z miłości do tego regionu powstała właśnie ta książka, którą, Drogi Czytelniku, trzymasz w dłoni. Także z miłości do tworzenia opowiadań.

Oprócz tego, a może co najważniejsze, jest szczęśliwą żoną i mamą.

*Dla mojego męża i siostry,  
którzy wierzą we mnie  
i zawsze mnie wspierają*



# CZEŚĆ I



Warszawa,  
styczeń 1850 roku

# Rozdział 1



„O ZAISTE! Stała się jasność” — pomyślała Alicja, gdy przemierzała powozem Warszawę. Miasto było skąpane w blasku styczniowego słońca. Po tygodniach ciemności grudniowych i listopadowych dni, zachmurzonego nieba słoneczna aura była miłą odmianą. Tego dnia pogoda, jak na tę porę roku, była wyjątkowo przyjemna. Czuło się wprawdzie mróz, ale intensywne promienie słońca wpadały przez okna powozu i przyjemnie pieściły twarz. Fiakier jechał spokojnie. Zresztą i nie dało się inaczej, gdyż wzdłuż Krakowskiego Przedmieścia co rusz chodziły patrole carskich policmajstrów.

Alicja rozkoszowała się świeżością zimowego poranka. Zapięła w nim swoje nozdrza, na co dzień bowiem przez wiele godzin obcowała z zupełnie innymi zapachami.

Warszawa po powstaniu listopadowym, które знаła tylko z opowieści, była innym miastem. Echa tego zrywu narodowego rozbrzmiewały jej w głowie, bo została wychowana na jego micie. Po tysiąc osiemset trzydziestym roku zastrzono nadzór nad miastem, a jego mieszkańcy byli karani na różne sposoby przez władze carskie.

Alicja czuła grozę kontroli dość często. Powstania nie pamiętała, choć była już wtedy na świecie. Ale skutki tego wydarzenia odczuwała teraz. Często nie dawało się spokojnie przejść, przejechać przez miasto, nie czując na sobie świdrującego wzroku carskiego policjanta. Na chwilę zapomniała o tych nieprzyjemnych



i pełnych lęku myślach. Przemierzała właśnie most i spoglądała na Wisłę. Zawsze miała lekką obawę, gdy wjeżdżała na tymczasowy most, któremu zdarzało się przetrwać dłużej niż przez wiosnę i lato, bo z jakichś powodów go jeszcze nie zdekonstruowano. Ale skoro drożki jeszcze po nim jeździły, to wołała taką przeprawę niż łodzią. Było szybciej. Aby zagłuszyć lęk przed zapadnięciem się mostu, gdy przejeżdżała po nim w powozie, wpatrywała się w rzekę.

Jechała do ciotki Aurelii, która od kilku dni czuła się słabo. Miała zawroty głowy i duszności. O medyka było trudno. Krewniczka mieszkała na Pradze. Zawsze wołała Alicję, gdy się źle poczuła, ufała jej. Choć dziewczyna oficjalnie nie była lekarzem, to znała się na sztuce przywracania ludziom zdrowia. Po śmierci ojca musiała zacząć zarabiać pieniądze, bo jej rodzic niewiele jej zostawił. Zresztą cieszyła się z tego. Praca dawała jej poczucie sprawczości, pozwalała odciągnąć myśli od dręczącej ją przeszłości. Alicja widziała sens w opiece nad chorymi w szpitalu. I zawsze miała wymówkę, aby nie spotykać się ze swymi egzaltowanymi przyjaciółkami, które zajmowały się głównie rozmowami o nowych sukniach, kawalerach, partiach na męża i posagach, jakie wniosą do przyszłego małżeństwa.

Alicja nie miała znaczącego posagu, a więc i o małżeństwo mogło być trudniej w jej przypadku. Nad czym zresztą wcale nie ubolewała. Poza tym bardziej ciekawiły ją rozmowy z innymi pielęgniarkami czy lekarzami ze szpitala. Tam czuła się jak ryba w wodzie. Zawsze z zapartym tchem słuchała dyskusji lekarzy, pielęgniarek na temat budowy ludzkiego ciała. Niby w szpitalu można było to obserwować na żywym organizmie, ale jednak poznawanie teorii, przyswajanie wiedzy o tym, jak to wszystko wygląda od strony naukowej, wydawało się Alicji wyższym stopniem wtajemniczenia. Pragnęła też tam dotrzeć. Marzyła o tym, aby także znaleźć się na wykładach i chłonać

wiedzę przekazywaną przez mądrzejszych od niej. Ta właśnie myśl sprawiała, że przenosiła się w inny świat.

Niestety nagle musiała porzucić swoje przyjemne myśli. Obraz tego, jak siedzi w uniwersyteckiej ławie, rozprysł się nagle na kawałki, bo woźnica krzyknął, że dojechali na miejsce. Nawet nie spostrzegła, kiedy minęła jej podróż.

Alicja wysiadła z powozu, mróz uszczypnął ją delikatnie w policzek, jakby nawołując do powrotu do realnego świata. Jej złotorude blond pukle lśniły w blasku słońca. Woźnica, widząc, jak rozsypały jej się na ramionach, uśmiechnął się do niej. Patrząc jej w oczy, powiedział: „Dobrego dnia, panienko”, po czym odjechał.

Alicja została sama przy ulicy Kijowskiej na warszawskiej Pradze. Przygotowywała się do wejścia. Poprawiła spódnicę, wyprostowała kołnierz płaszcza. Najbardziej jednak uspokajała swoją głowę przed tym spotkaniem.

Weszła po krętych drewnianych schodach na drugie piętro kamienicy. Zewsząd czuła woń starego drewna. Była wyjątkowo wrażliwa na zapachy. A woń drewna akurat przyjemnie pieściła jej nozdrza. Trochę przypominała jej zapach, który czuła, gdy przeglądała rzędy woluminów w bibliotece. Alicja kochała to. Zawsze myślała, że gdyby miała niezliczoną ilość pieniędzy, kupiłaby sobie całą bibliotekę. Miałaby wówczas na wyciągnięcie ręki wszystkie książki, jakie by jej się tylko zamarzyły.

Znów jednak musiała przywołać się do porządku, wrócić myślami do rzeczywistości. A że często zdarzało się jej odpływać w świat wyobraźni, powtarzała sobie co jakiś czas: „Alicjo, czas wracać do rzeczywistego świata”. Tak uczyniła i tym razem, bo oto stanęła przed drzwiami cioci Aurelii. Zapukała i za chwilę usłyszała kroki.

— O, panienka Alicja! Jak dobrze, że panienka się w końcu zjawiła. Pani Aurelia od rana panienki oczekuje. Mówi, że już wkrótce nas opuści — rzekła smutno Marcysia, zabierając

płaszcz Alicji. Marcysia była służącą cioci Aurelii. Jej rodzina od pokoleń pracowała dla rodziny Długołęckich.

— Spokojnie, Marcysiu. Zaraz spojrzę, co się dzieje. Ciocia wszak nie pierwszy raz miewa takie stany — uspokoiła służącą Alicja, po czym udała się do salonu.

W całym mieszkaniu pachniało czosnkiem, ale unosił się w nim także zapach aromatycznej, czarnej herbaty, którą piła pasjami ciotka Aurelia. Alicja domyśliła się, że Marcysia od rana przygotowuje jakieś napary dla jej krewniaczki. W salonie, w którym przebywała ciotka, było gorąco. Być może był to efekt samowara, który stał w rogu i cały czas podgrzewał wodę na herbatę. Alicję aż uderzyła duchota. Z powodu mgły ledwo też dostrzegła rzędy obrazów i fotografii zawieszonych na ścianach.

— Alicjo, dziecko kochane. Dobrze, że jesteś. Niepokoiłam się, że coś ci się stało. Wszak posłałam po ciebie wczesnym porankiem, a ty przybywasz dopiero teraz. Już się bałam, że mogę odejść z tego świata, nie pożegnawszy się z tobą — mówiła ciągiem ciotka Aurelia. Leżała wyciągnięta na kozetce, w burgundowej sukni, i wachlowała się.

— Ciociu, musiałam pozatratwić swoje sprawy. Poza tym byłam w szpitalu, nie mogłam dziś odwołać swojej pracy. Czy tobie nie jest tu za gorąco? — odpowiedziała uprzejmie Alicja.

— Ależ skąd! Muszę dbać o siebie. Alicjo, po co ci, dziecko, ta praca? Nie powinnaś się nią w ogóle zajmować. Kalasz swoje piękne jeszcze dłonie brudem, krwią, jakimiś ohydnyymi wydzielinami i Bóg wie czym jeszcze. Tyle razy ci to mówiłam. Zobacz, jak też niszczą się twoje dłonie od tych wszystkich chemikaliów i medykamentów. Jesteś jeszcze młodziutka, ale nie znajdziesz sobie męża, jak będziesz tak dalej postępować. Bo spojrzysz na dłonie takiej panny i pomyśli sobie, że nie chce żony z defektem — ubolewała Aurelia.

Alicja westchnęła ciężko. Ciocia Aurelia i tak nie była w pełni świadoma, czym jeszcze jej bratanica kała sobie dłonie w szpi-

tal. Kto wie, może jakby miała pełen obraz tego, co się dzieje w miejscu pracy jej bratanicy, nie pozwoliłaby się krewniaczce nawet dotknąć.

— Ależ ciociu, moje dłonie świadczą o tym, że robię coś sensownego w życiu. Poza tym — Alicja wzięła głęboki oddech, jak zawsze, gdy musiała wypowiadać tę kwestię — zamążpójście nie jest moim celem. Radziłam sobie tyle lat sama i poradzę sobie dalej. Zresztą potrzebuję pieniędzy zarabianych w szpitalu.

— Alusiu, przecież ojciec zostawił ci pokaźną sumę pieniędzy. Masz z czego żyć. Ja też mogę cię wspomóc. Złotko, po co ci ta praca? — Aurelia nie ustępowała.

— Ciociu, sama wiesz, że to, co mam po rodzicach, to nie jest jakiś wielki majątek. Zresztą, ciociu, kto by cię doglądał, gdybym nie pracowała i nie znała się na tym, w czym tak często mnie potrzebujesz? Przekazano mi, że bardzo źle się czujesz. Co się dzieje? Kaszel czy coś więcej? — Alicja, która musiała coraz mocniej powstrzymywać swoje poirytowanie, zmieniła temat. Czuła, że jej oddech staje się coraz płytszy. Od dawna słyszała podobne przytyki od Aurelii.

— Ach, Alusiu, kaszel, duchoty, jakaś gorączka. To pewnie gruźlica. Słaniam się od rana na nogach. Marcysia przynosi mi tu różne mikstury, ale one nie dają ukojenia — zaczęła nieco histeryzować Aurelia.

Jej twarz nie wyglądała jednak nadto blado. Alicja oceniła nawet, że wygląda jak zawsze. Włosy Aurelia miała jak zwykle ułożone nienagannie. Czarne pukle, usrebrzone pasmami siwych włosów, opadały jej miękko na ramiona. Wachlarz rzęs, które okalały niebieskie oczy, był lekko pomalowany. Na czole tylko nieco zarysowała się lwia zmarszczka, ale wyrażała raczej zmartwienie, które trapiło Aurelię. Ciotka, mimo swych przeżytych już ponad sześćdziesięciu wiosen, wyglądała znacznie młodziej, niż można było przypuszczać. Nawet dziś,

w dniu, w którym mówiła, że jest umierająca, przywdziała suknię w kolorze burgundu, podkreślającym róż na policzkach.

Alicja obejrzała dokładnie swoją krewną. Ośluchała ją. Sprawdziła uszy, gardło.

— Ciociu, nie widać tu żadnych oznak suchot. Zapewne sforsowałaś gardło i teraz cię boli. Jest dość mroźno. Może za długo rozmawiałaś z kimś, przebywając na zewnątrz? Albo spacer okazał się za długi? — dociekała Alicja.

— Nie suchoty? Ależ tak się źle czuję. Ja, Alicjo, w tak mroźną pogodę staram się nie przebywać za długo na dworze. Ale fakt, śpiewałam nieco ostatnio. W domu. Może nadto sforsowałam gardło. Był tu pan Zalesiński i zechciał zagrać mi na fortepianie. A że kunszt w palcach ma całkiem niezły, to do tak zacnego dźwięku nie sposób było nie zaśpiewać jakiejś ukochanej arii.

Ciotka Aurelia marzyła kiedyś o karierze śpiewaczki operowej. Wymykała się czasem potajemnie na koncerty do opery. Śpiewała w domu. Rodzice wychowywali ją jednak do tego, aby umiała zarządzać domem i nabyła umiejętności potrzebnych przyszłej pani domu i mężatce. Nie sądzili, że nauka gry na fortepianie i lekcje śpiewu, jakie Aurelia pobierała, zafascynują ją do tego stopnia, że córka zechce oddać się śpiewowi. Stanowczo się na to nie zgodzili. Uznali, że jest to zajęcie niegodne panienki z dobrego domu, szlachcianki. Aurelia się buntowała, wymykała z domu. Tyle że spadały na nią później srogie konsekwencje. Ot, choćby w postaci zakazu opuszczania domu.

W końcu znaleziono jej odpowiedniego narzeczonego. Adam Długolecki pochodził z szacownego warszawskiego rodu, a co najważniejsze — w mniemaniu rodziców Aurelii miał poważny zawód. Był bowiem adwokatem. Rodzice byli przekonani, że zapewni córce należyłą przyszłość i utemperuje jej artystyczne zapędy.

Sama zaś Aurelia może nie zakochała się w Adamie, ale pocieszała się, że jest całkiem przystojny i będzie sobie mogła przy

nim kupować te wszystkie suknie na francuską modłę, i przynajmniej poczuje się jak śpiewaczka operowa. Aurelia przeżyła z Adamem prawie cztery dekady. Kilka lat temu jej mąż zmarł na zawał. Byli całkiem zgodnym małżeństwem. Nie mieli dzieci. Tak naprawdę jedyną bliską krewną Aurelii była Alicja, córka po jej zmarłym bracie.

Jako że uroda Aurelii nie została całkowicie przyćmiona zębem czasu, twarz pozostawała gładka, a wcięcie w talii, które kobieta zawdzięczała restrykcyjnym dietom i mocno opiętym gorsetom, nadal było dość widoczne, kręcili się wokół niej adoratorzy. Wdowcy albo starzy kawalerowie. Ona z nimi bardzo chętnie flirtowała, ale nigdy nie traktowała tych relacji jako czegoś poważnego. Niektórzy z nich przychodzili właśnie do wystawnego mieszkania Aurelii i przygrywali jej na fortepianie, aby móc podziwiać jej śpiew, po którego skończeniu Aurelia z wdziękiem opadała na kozetkę i wzdychała.

Pani Długołęcka każde, nawet najmniejsze zakasłanie wiązała ze śmiertelną chorobą i wzywała bratanicę. Alicja przyjeżdżała za każdym razem, choć sądziła, że te dolegliwości to nic poważnego. Chociaż nie raz i nie dwa irytowała się docinkami ciotki, że powinna zostawić pracę w szpitalu, poszukać sobie męża i najlepiej leżeć i pachnieć, to jednym uchem wpuszczała je, a drugim wypuszczała. Poza tym czuła, że w głębi ducha Aurelia trochę jej zazdrości, że Alicja może pracować i robić to, co lubi. Sama wszak była niespełnioną śpiewaczką, której serce rwało się do opery.

Alicji zwyczajnie nie było komu tak naprawdę zabronić pracy. Aurelia była jej jedyną bliską krewną. Rodzice dziewczyny już nie żyli. Zresztą nawet gdy na świecie jeszcze był jej ojciec, wiedziała, że może liczyć głównie na siebie, i nie chciała łaski od mężczyzn. Nie mogła wybaczyć ojcu tego, co jej zrobił. Postanowiła zatem, że będzie sama zarabiać na siebie. Nieliczne kobiety wszak już zaczynały nieco zarabkować. Niektóre po to, aby wspomóc

domowe budżety. Wprawdzie były to dorywcze prace i o takim zawodzie, jaki chciałyby wykonywać Alicja, mało która niewiasta śmiałyby w ogóle pomyśleć, ale dziewczyny to nie zrażało.

— Alusiu, poproszę Marcysię, aby podała nam herbatę i ciasto makowe, które tak lubisz — oznajmiła Aurelia.

— Nie wiem, ciociu, czy jestem głodna. Będę zaraz odjeżdżać, bo muszę się jeszcze dziś przygotować, coś poczytać.

— Ach, dziecko, tyle pracy masz. Wykończysz się. Zjedz troszkę. Wiadomo, że nie za dużo, bo trzeba dbać o linię, ale wiesz, jak dobry jest makowiec Marcysi — przekonywała ją Aurelia.

— No dobrze, chwilę zostanę, ciociu.

Za moment służąca podała ciasto i herbatę. Alicja lubiła ten przyjemny odgłos filiżanki odstawianej na stolik. Kojarzył jej się z czasem, gdy tata często popijał herbatę z filiżanki. A w zasadzie to kawę. Bo tata Alicji bardzo lubił kawę. Odgłos filiżanki objającej się o porcelanowy spodek był jej pierwszym wspomnieniem z dzieciństwa. Alicja mogłaby wypijać kilka filiżanek kawy dziennie, choć ciotka Aurelia uważała, że czarny napój w nadmiarze jest niezdrowy. Dlatego przewidując, że Alicja, gdy przechodziła do niej po południu, wypila już kilka filiżanek kawy, nie proponowała jej tego napoju.

Alicja upiła łyk herbaty. Ugryzła kawałek ciasta i poczuła, jak ziarenka maku rozchodzą się jej w buzi i przyjemnie łaskoczą podniebienie.

— Alusiu, chciałabym o czymś z tobą porozmawiać.

— Słucham, co takiego ciocia ma mi do powiedzenia? — Alicja spojrzała na Aurelię.

— Ostatnio, Alusiu, jak sama widzisz, niedomagam. Duchoty mnie takie ogarniają, migreny nachodzą, uciski w klatce piersiowej czuję — opowiadała Aurelia.

Alicja ugryzła ponownie makowca i słuchała ciotki, która zaczęła nerwowo wodzić wzrokiem po pokoju.

— Alicjo, przydałby mi się ktoś na stałe do opieki — wypaliła w końcu Aurelia.

— No przecież ciocia ma Marcysię do pomocy, Antoni stoi zawsze na warcie — zdziwiła się Alicja.

— Tak, Alusiu. Ale to nie to samo, co mieć przy sobie oddaną i ukochaną bratanicę, która mogłaby wesprzeć ciotkę w codziennych troskach — drążyła dalej Aurelia.

— Ależ ciociu, wszak wspieram cię, kiedy mogę. Co ciocia pośle po mnie z wiadomością, że źle się poczuła, przybywam tu bez zbędnej zwłoki. Jakże inaczej mogłabym jeszcze cioci pomóc?

— Tak, złotko, naturalnie, przybywasz. Ale jak pewnego dnia zasłabnę nagle i srogo, nie dojedziesz na czas i pożegnam się nazbyt szybko z życiem. Bezpieczniej bym się czuła, gdybym tu cię widziała.

— Co ciocia próbuje mi powiedzieć? — zapytała wprost Alicja. Nie lubiła tych podchodów ciotki, które ta dość często stosowała.

— Moja złota, brylantowa, może zamieszkałabyś ze mną na stałe? Czułabym się bezpieczniej. A i ty mogłabyś wieść u mnie spokojniejsze życie. Nie musiałabyś pracować, skończyłabyś z tym samotnym mieszkaniem, które doprawdy nie przystoi panience z dobrego domu. Poza tym znasz się na sztukach medycznych i pomocą mi możesz służyć.

— Ależ ciociu, już przez chwilę z ciocią mieszkalam. Na cóż to powtarzać, gdy dorosłość osiągnęłam? No i przecież ciocia uważa, że głupstwem jest to, co robię. Cały czas mi powtarza, że sztukami medycznymi powinni się zająć mężczyźni. Na cóż jej moje umiejętności, skoro kobietom nie ufa? — odpowiedziała już nieco zdenerwowana Alicja.

— Takich cudów i dziwów, aby panienka z dobrego i majątnego domu sama mieszkała, to nie widziano w tym mieście.

Alicja wysłuchiwała tych argumentów od dawna i знаła je na pamięć. Wstała więc i podeszła do okna, aby spojrzeć na



Warszawę. Nie miała już chęci, aby po raz kolejny dyskutować z krewniaczką o swoim samotnym mieszkaniu.

— A twoim umiejętnościom medycznym, gdy je wykorzystujesz na moje potrzeby, jak najbardziej ufam. Poza tym chciałabym cię obdarować. W zamian za opiekę nad moją osobą zapiszę ci mieszkanie w tej zacnej kamienicy w dożywocie. Mam jeszcze i inny majątek, który wuj Adam po sobie pozostawił — nie dawała za wygraną Aurelia.

Alicja uświadomiła sobie, że ciotka chce ją usidlić u siebie w domu. Może i faktycznie czasem się źle czuła, wiele było jednak w jej zachowaniu hipochondrii. Niby przydatne byłyby jej umiejętności medyczne bratanicy, ale zamknięcie Alicji w domu sprawiłoby, że dziewczyna nie mogłaby ich dalej rozwijać.

— Ciociu, jak ciocia sobie wyobraża, że mogłabym się nią zająć i medycznie opiekować, skoro to wiązałoby się z porzuceniem pracy w szpitalu, w której się tyle uczę? Nie mówiąc już o tym, że musiałabym porzucić marzenia o studiach medycznych...

— Alusiu, kochanie, zajęłabyś się czymś, co przystoi paniencie z dobrego domu. Nauczyłabyś się u mnie sztuk potrzebnych w byciu dobrą żoną. Poza tym ludzie gadają, że siostrzenica Długockich pracuje, bo pewnie cała rodzina zubożała — zdradziła ciotka. — I to w jakich warunkach pracuje. Aż dreszcze przechodzą mi po plecach, gdy pomyślę sobie, z kim ty w tym szpitalnym przybytku obcujesz. — Aurelia przeżegnała się i wzniosła oczy.

— Ludzie gadali, gadają i zawsze będą gadać. A cioci chodzi tak naprawdę o jej zdrowie, opiekę nad nią, moją przyszłość czy tylko o to, co ludzie gadają? Czy cioci idzie, w rzeczy samej, o pozamykanie im buzi? — zapytała Alicja otwarcie. Dość miała półśłówek, zawołanych zdań, jakimi dość często posługiwała się ciotka i inni w jej otoczeniu.

— Ależ Alicjo, jak śmiesz?! O wszystko mi chodzi. I o mnie, i o ciebie. Miałabyś przy mnie spokojny byt, nie musiałabyś pracować. Zresztą ty i tak nie musisz pracować. To nie jest zaję-

cie dla kobiety, tylko jakieś twoje fanaberie! — mówiła Aurelia, której powieka zaczęła drgać. Nie lubiła, gdy ktoś jej się sprzeciwiał. Mąż nie żył od jakiegoś czasu, a służbą rozporządzała wedle swego uznania. Pan Zalesiński zaś, gdy ją odwiedzał, zawsze jej potakiwał. Z jedną Alicją nie mogła sobie poradzić.

Ta nigdy nie chciała jej się zanadto podporządkować. Zawsze była krnąbrna. Może zaważył na tym fakt, że wychowywała się bez rodziców? Nikt nie trzymał nad nią silnej pieczy ojcowskiej. A panienkom to jednak potrzebne, bo inaczej głupoty w głowie zaczynają im się kłębić. Takie było zdanie Aurelii. Ją ojciec krótko trzymał. Nie pozwolił jej rzucić się w wir życia artystycznego. Czy miał rację? O tym Aurelia nie była przekonana.

— Ciociu, dziękuję za propozycję. Ale mam teraz na głowie dużo nauki i pracę. Jakby ciocia potrzebowała mojej pomocy, to wie, że chętnie jej udzielę. Ale mieszkać będę tam, gdzie dotychczas. Przynajmniej do czasu, aż mnie nie wezmą na wydział lekarski.

— Dziecko, o czym ty mówisz!/? Nie dość, że kobiet na uniwersytetach nie przyjmują, to przecież władze carskie po klęsce powstania zamknęły nam uniwersytet w Warszawie — pytała z niedowierzaniem Aurelia.

— Jestem tego świadoma, ciociu. Przeprowadzę się do Krakowa, jeśli będzie trzeba. Tam wszak na uniwersytecie cały czas kształcą medyków. Zresztą nie wierzę w to, aby za jakiś czas i uczelni w Warszawie nie dało się na powrót otworzyć. Nasi profesorowie nie dadzą tak łatwo za wygraną — upierała się Alicja.

Aurelia spodziewała się nie do końca takiej reakcji. Liczyła na to, że Alicja zachowa resztki rozumu i zgodzi się na jej propozycję. Aurelii wydawało się nieprawdopodobnym, co te książki, nauka robią z młodymi panienkami. Jak przewracają im w głowach! Choć gdzieś w głębi duszy ciotka odrobinę podziwiała bratanicę. Ta miała odwagę robić to, co chce. Jej samej zabrakło kiedyś determinacji.

Alicja pożegnała się z ciotką, poczekała, aż Antoni poda jej płaszczyk, i wyszła. Przedpołudniowe słońce gdzieś zniknęło. Rozgrzane, czerwone policzki dziewczyny smagnął wiatr. Ostry, styczniowy. Dziewczyna miała jednak szczęście i nie musiała za długo stać na tym zimnie. Podjechała właśnie dorożka, do której wsiadła. Rzuciła naprędce woźnicy, aby powiózł ją do domu. Na dziś dość już miała trudnych rozmów. Pragnęła się zaszyć w swoim mieszkaniu.

## Rozdział 2



STYCZEŃ tego roku był wyjątkowo mroźny. Początkowo, w pierwszych dniach nowego roku, zimno nie dało się mieszkańcom Warszawy we znaki. Kolejne dni, które nastały po szóstym styczniu, po święcie Trzech Króli, przyniosły jednak utrapienie warszawiakom. Kobiety, które wychodziły po zakupy, szybko załatwiały sprawunki. Służące nie przystawały nawet zanadto na rozmowy ze swymi znajomymi. Mróz tak je poganiał, że zamiast plotkować o tym, co tam słysząc u chlebobdawców znajomej, opowiadać o tym, co robi pani z Żoliborza, wołały czym prędzej załatwić co trzeba i uciec do domu.

Adwokaci, urzędnicy przejeżdżający dorożkami przez ulice Warszawy co z nich wysiedli, już uciekali do budynku, aby szybko schować się przed zimnem. Nawet damy do towarzystwa tak ochoczo zawsze uśmiechające się do mężczyzn i zapraszające ich wzrokiem do domu uciech się pochowały. Idąc wzdłuż ulicy Krakowskie Przedmieście, widziało się je głównie, jak stoją w oknach i uśmiechają się do przechodniów, powabnie wachlując przy dekolcie. Wachlarze wprawdzie stanowiły o tej porze roku dość kuriozalny widok, ale niejednen mężczyzna po kilku głębszych, których zakosztował w przydrożnym barze, potrzebował wachlowania.

W wielu mieszkaniach było niemiłosiernie zimno. W domach zamożnych arystokratów czy majątnych mieszczan służące uwijały się codziennie, aby donosić opał, oczyszczać piec

i palić w nim z samego rana dla rodziny. Tak aby państwo i ich dzieci, gdy się wybudzą, nie mogli dojrzeć obłoczków swojego oddechu unoszących się z ust nad pościelą.

W mieszkaniach rzemieślników czy robotników nie było już tak przyjemnie. Pomieszczenia były słabo opalane. Po całym dniu pracy kobiety pełniące w ciągu dnia służbę u innych, mężczyźni zajmujący się drobnym rzemieślnictwem wracali do swych domostw, aby coś szybko zjeść, omówić ewentualnie dzień z pozostałymi domownikami, po czym szli czym prędzej spać. Bo rano znów trzeba było wstać. Sen pod grubą pierzyną był najlepszym sposobem, aby przetrwać długie i mroźne wieczory. Lekiem na troski, utrapienia i trudy dnia codziennego.

Wielogodzinne przebywanie w nieogrzewanych lub słabo ogrzewanych pomieszczeniach miało swoje konsekwencje. Przeziębienia, zapalenia płuc, pogłębiające się suchoty sprawiały, że śmiertelność o tej porze roku była wyjątkowo wysoka. Podobnie zresztą było w lutym.

Obraz tej nędzy, skutki życia w takich warunkach widziała Alicja. Codziennie chodziła, a w zasadzie dojeżdżała do szpitala zlokalizowanego przy ulicy Dworskiej w Warszawie, aby pomagać w opiece nad chorymi. Pieczę nad nimi sprawowały tam głównie szarytki — siostry zakonne. Alicja początkowo przyjeżdżała tylko im asystować na godzinę dziennie, później na dwie, na trzy. Aż w końcu zaczęła tam przebywać dłużej.

Wybłągała o to dyрекcję. W końcu doszło do tego, że stała się pracownikiem szpitala. Po prawie całym roku przyjazdów, błagań kierowanych do doktora Wysokińskiego została pielęgniarką. Choć doktor początkowo nie chciał się zgodzić. Myślał, że przyjazdy Alicji do szpitala to efekt fanaberii panny z dobrego domu, która poczuła pewnego dnia wzruszenie, widząc na ulicy prawie zamarzniętego biedaka, szturchanego przez żandarmerię. Dziewczyna w istocie będąc świadkiem tej

sceny podczas przejazdu dorożką wzdłuż ulicy Nowy Świat, poczuła ucisk z sercu i wyskoczyła z powozu niczym oparzona. Wcześniej widziała, jak leżącego człowieka mijają przechodzący obok mężczyzna z kobietą, elegancko ubrani. Spojrzeli na niego z pogardą i obrzydzeniem. Mężczyzna zawołał tylko żandarmów wyłaniających się zza rogu, po czym para jak najprędzej się oddaliła.

Alicja doszła do leżącego biedaka szybciej niż żandarmi. Gdy tylko pochyliła się nad nim, usłyszała „Stop!” z ust jednego z żandarmów. Sugerował, że biedak jest pijany i nic już z niego nie będzie. Ona jednak nie dawała za wygraną. Zaczęła go cucić, po czym prośbą i groźbą zmusiła żandarmów do odwiezienia nieprzytomnego mężczyzny do szpitala. Nie ufając carskiej policji, wsiadła z nimi do powozu i tak zajechali na ulicę Dworską.

Tam Alicja zobaczyła ogrom bólu. Cierpienie na wskroś rozlewało się po szpitalu. Mimo to poczuła, że to jej miejsce. Choć doktor Wysokiński patrzył na początku z politowaniem na to, co też ta panna wyrabia, zastanawiał się, gdzie są jej rodzice, to jednak jej upór, wytrwałość i konsekwencja przekonały go z czasem do niej. Widział, jak dziewczyna się stara, jak pomaga siostrze, jak nie brzydzi się dotykać ropiejących ran, opatrzyć odmrożonych kończyn, że nie odsuwa się od gruźlików zanoszących się kaszlem. Wraz z siostrami sprzątała nawet fekalia chorych. Nie obrzydzał jej widok pacjenta tuż po operacji, który popuścił kał albo mocz. Nawet jeśli chirurg starał się przeprowadzić operację w kilka minut, czyli najszybciej jak potrafił, pacjent odczuwał ból i czasem, przywiązany do stołu skórzanymi pasami, trzymany przez asystentów, omdlewał. Robił pod siebie. Doktorzy uwijali się, jak mogli, aby nieszczęśnikom zaoszczędzić bólu, ale nie zawsze to było możliwe. Sala operacyjna po takim zabiegu zostawała ze ścianami obryzganymi krwią, w kątach walały się amputowane i czasem rozkładające się kończyny, a na podłodze były fekalia pacjentów.

Szarytki często nie nadążały ze sprzątaniami. Toteż każde ręce do pracy były na wagę złota. Nawet panny z bogatego domu.

Wprawdzie w szpitalach coraz częściej używano już eteru jako środka znieczulającego. Do lekarzy docierały bowiem informacje, czego w lutym tysiąc osiemset czterdziestego siódmego roku w krakowskim szpitalu dokonał chirurg Ludwik Bierkowski, kiedy to przeprowadził pierwszą operację w znieczuleniu eterowym. Niemniej jednak nie zawsze eteru w Warszawie wystarczało, nie zawsze był dostępny, a byli i lekarze, którzy sceptycznie patrzyli na ten wynalazek. Stąd wielu pacjentów przechodziło jeszcze męki podczas zabiegów.

Nie było dnia, w którym warszawski szpital nie byłby przepełniony krzykami pacjentów, brudem i smrodem. Doktor Wysokiński dostrzegał jednak, że panny Alicji to wszystko nie zraża. Po roku obserwowania jej zgodził się, aby Alicja została w szpitalu na stałe. Dodatkowo przekonała go do siebie swoimi planami. Zdradziła mu całkiem niedawno, że chce studiować medycynę, choćby miała przebierać się za mężczyznę, aby znaleźć się na uniwersytecie. Była zdecydowana nawet wyjechać z kraju i szukać dla siebie miejsca na uniwersytecie w Zurychu czy na paryskiej Sorbonie, gdyby zaszła taka konieczność. Upór tej panienki imponował mu. Ciekaw był, jak jej rodzice patrzą na te plany naukowe. Priorytetem wielu opiekunów było wszak wydanie panny dobrze za mąż. Choć gdy doktor Wysokiński obserwował Alicję, jej energię, zwinne ruchy, wiarę, z jaką pochylała się nad chorymi, wydawało mu się, że akurat w jej przypadku nie byłoby to takie proste.

Uwijała się w szpitalu, robiła niekiedy za dwoje. Miała jakiś dar naturalnej empatii i doktor Wysokiński sam przed sobą musiał przyznać, że wprowadza go w zachwyt taka postawa podwładnej.

— Alicjo, czy mógłbym panienkę prosić na słówko do mojego gabinetu? — powiedział do niej pewnego popołudnia.

Dziewczyna, odwracając głowę od chorego z odmrożonymi stopami, które właśnie skończyła opatrywać, spojrzała w kierunku doktora i skinęła głową. Opuściła dużą salę, na której znajdowało się około czterdziestu łóżek pacjentów, i powędrowała do gabinetu doktora. Pomieszczenie było małą kanciapą wciśniętą między salę chorych a klatkę schodową. Gdy się do niego wchodziło, czuć było duszność, mimo chłodu panującego obecnie na zewnątrz, i wszechpanujący odór tytoniu. Doktor Wysokiński co odszedł od jakiegoś pacjenta, to przypalał fajkę.

Gdy Alicja znalazła się w jego gabinecie, ledwo co zobaczyła go w tym dymie. Stał przy oknie i patrzył w dal. Ale gdy weszła, spojrzał na nią z uśmiechem wyłaniającym się spod równo przyszytych wąsów i podsunął jej krzesło, aby usiadła naprzeciwko jego biurka. Był w swoim białym kitlu, dość czystym jak na standardy panujące w szpitalu. Fartuch nosił tylko lekkie znamiona użytkowania w postaci kilku kropel pacjenczej krwi na nim. Alicji wydało się to niemal nieskalaną niczym czystością, gdy przywoływała w myśli fartuchy innych lekarzy, uwalane we krwi, o które co jakiś czas wycierali narzędzia chirurgiczne używane podczas operacji.

Alicja wiedziała, że doktor Wysokiński przynajmniej myje czasem te narzędzia. Niektórzy jego koledzy w ogóle tego nie robili. Dziewczynie bardzo imponowało to, że jej przełożony jest otwarty na nowinki płynące z Zachodu. Choć wielu lekarzy wyśmiewało to, doktor Wysokiński mył dłonie, gdy przechodził z prosektorium na sale z położnicami. Mało tego, polecał nawet szarytkom czasem myć narzędzia, bo o słuszności i efektach tego postępowania dowiedział się podczas odczytu w Londynie, na którym był pół roku temu. Zaiste Alicji imponowało w doktorze to, że idzie z postępem.

— Wezwał mnie pan, doktorze, o co chodzi? — zapytała teraz z nutą niepewności w głosie.



Doktor Wysokiński, siedząc naprzeciwko, obserwował ją uważnie. Widział, jak nagle zaczęła upychać złote loki w czepku, spod którego niespodziewanie się wysunęły. Dla innych panien byłoby to nie do pomyślenia, aby wykonywać czynności garderobiane przy mężczyźnie. Alicja jednak bez oporów odpięła lekko czepek i zaczęła go poprawiać.

— Przepraszam, ale musiałam. Nie zauważyłam wcześniej, że włosy mi wystają — zreflektowała się.

— Nic się nie stało. — Spojrzał na nią z uśmiechem i zaczął swoją przemowę: — Droga Alicjo, podoba ci się u nas? Nie jesteś zmęczona jękiem pacjentów, odorem ich ran ani uspokajaniem ich, gdy krzyczą z bólu?

Dziewczyna czuła, że za tym pytaniem kryje się coś głębszego, bo doktor patrzył na nią przenikliwie i spokojnie. Choć z reguły miał taki wzrok. Był oazą spokoju, ale tym razem jego niebieskie oczy coś zdradzały.

— Tak, czuję się tu bardzo dobrze. Czuję, że moje miejsce jest przy pacjentach. Przy nich odnajduję sens mojego życia.

— Cieszę się, że tak panienka mówi. Czy rodzina nie opo-  
nuje zaudto przeciwko pracy panienki w szpitalu? — pytał dalej doktor.

— Ja nie mam rodziny. Mam tylko jedną ciotkę, której może i nie do końca podoba się to, co robię, ale trudno. Jak przychodzi co do czego, to wzywa mnie, abym ją obejrzała, oceniła jej dolegliwości. Toteż chyba czasem jest jej całkiem na rękę, że pracuję w szpitalu — odparła Alicja.

— Rozumiem. Skoro tak się sprawy mają, to przejdę od razu do rzeczy. Chciałbym panience zaproponować, aby asystowała nam przy operacji. Będziemy w przyszłym tygodniu operować kamienie nerkowe u pewnego pacjenta. Przyjadą do nas studenci medycyny aż z Krakowa, aby obserwować cały zabieg — zakomunikował doktor Wysokiński.

Oczy Alicji zaszklily się na tę wiadomość. Źrenice powiększyły się, a zielononiebieska tęczęwka, nieokreślonego bliżej koloru, zaczęła się mienić jeszcze bardziej.

— Doktorze, jestem zaszczycona. To dla mnie niezwykle wyróżnienie. Dołożę wszelkich starań, aby asystować jak najlepiej. Ale jak inni doktorzy na to zareagują? Wszak jestem kobietą... — odparła ze wzruszeniem w głosie.

— Operacja ma dość istoty wymiar. Będą w niej współuczestniczyć doktor Mochnacki i Rębiszewski. Nie wiem, czy nie przyjedzie ktoś z Moskwy. Moskale interesują się rozwojem naszej medycyny. Nic dziwnego. Wyprzedzamy ich, jeśli chodzi o rozwój nauki, myśli intelektualnej czy kultury. Chcieliby nas uciszyć, zrobić na ich modłę, ale nie jest to takie proste. Widać sami muszą się od nas uczyć.

Wysokiński uciekał myślami w przeszłość. Alicja wiedziała, że jego ojciec zginął w powstaniu listopadowym i doktor reagował alergicznie na Moskali. Ale był też opanowanym człowiekiem i kiedy było trzeba, zwłaszcza w towarzystwie lekarzy z Moskwy, umiał powstrzymać swoją niechęć na wodzy.

— Alicjo, to dla panienki niezwykła szansa. Zdobędzie panienka nowe umiejętności pielęgniarские. Rozwinie je. Kto wie, może za niedługo zostanie główną pielęgniarką w naszym szpitalu. A o kolegów lekarzy niech się panienka nie martwi. Już ja szanowne grono lekarskie przekonam. Mają oni wobec mnie niejeden dług wdzięczności. — Doktor Wysokiński uśmiechnął się pod nosem.

Alicja była wdzięczna. Popatrzyła jednak po całym zady-mionym gabinecie, na półki z książkami, które przesłaniał dym, i westchnęła cicho.

— Tak, doktorze, jestem bardzo wdzięczna. To dla mnie ogromne wyróżnienie, szansa, aby się wiele nauczyć, ale... — zawahała się.

— Ale co, panno Alicjo? — Wysokiński spojrzał na nią przenikliwie, a zarazem z czułością.

Wzięła głęboki oddech, spojrzała raz jeszcze w dal, omiotła wzrokiem stosy książek piętrzące się na półkach i pomyślała, że co jej szkodzi powiedzieć prawdę. Nie ma nic do stracenia.

— Bo ja w przyszłości... — zawiesiła głos — chcę zostać lekarzem. Traktuję pracę tutaj jako naukę i wielką szansę i jestem niezmiernie wdzięczna, że doktor pozwolił mi tu przychodzić, a nawet się zatrudnić — wyrzuciła z siebie.

— Tak, Alicjo. Coś o tym słyszałem. Matka oddziałowa mówiła mi kiedyś, podczas jednej z rozmów, że masz takie plany. Alicjo, to bardzo zacne plany i godne podziwu, ale jak zamierzasz je zrealizować? Przecież tu, w Warszawie, od upadku powstania nie mamy uczelni. Nawet na zachodzie Europy, w Szwajcarii czy Francji, jeszcze nie wpuszczają kobiet na uniwersytety i nie wiadomo, czy to kiedyś nastąpi. A my w dodatku żyjemy pod zaborem, pod Moskalami. Tu jest Polska, choć może formalnie nie ma jej na mapie, i tu rozpanoszyli się Moskale. Oni wszelkim modom i nowinkom są niechętni. Zachód to dla nich zgnilizna moralna — przekonywał ją doktor Wysokiński.

Alicja słuchała tego, spuściła wzrok, ale gdy zyskała do czegoś przekonanie, nie było łatwo odwieść jej od obranej drogi.

— Tak, doktorze, ja to wszystko wiem. Nie da się w Warszawie, trudno. Wyjadę za granicę. Do Francji, jeśli będzie taka potrzeba. Skoro tam też kobiet nie przyjmują, to ja się przebiorę za mężczyznę. Zetnę włosy, zmienię ubiór — zakomunikowała stanowczo.

— Ależ panno Alicjo, a z czego panienka się tam utrzyma i opłaci wszystko, co trzeba? Domniemywam, że rodzice nie zostawili panience aż takiego majątku, skoro panienka przychodzi do szpitala pracować.

Dla Alicji było to już nieco za dużo. Co doktora obchodzi jej stan majątkowy? Nie lubiła też, gdy ktoś przywoływał jej rodziców.

— Zostawili tyle, ile trzeba. Poza tym przychodzę do szpitala i pracuję tu, aby się uczyć, zarobione pieniądze odkładam. Odłożę na studia we Francji — zapewniła doktora, po czym wstała, podziękowała za możliwość udziału w operacji, dygnęła i zapytała, czy już może odejść.

Mężczyzna pogłodził wąsa i popatrzył na nią spokojnie. Nawet nie był zaskoczony jej reakcją. Wszak to była uparta panna, o czym już się przekonał, gdy przychodziła tyle miesięcy do szpitala i bezpłatnie tu pomagała. Musiał sam przed sobą przyznać, że to mu się w niej najbardziej podobało. Oprócz niewątpliwej urody, mieniących się oczu, rudozłotych loków doktora przyciągała do Alicji jej krnąbrność. Dziewczyna nie wstydziła się oglądać nagich pacjentów płci męskiej, nie bała się dotykać ich ran. Czasem, jeśli miał akurat kilka minut, obserwował z ukrycia, z oddali, jak ofiarnie zajmuje się chorymi i zadaje pytania, dociekając przyczyn danej choroby. Ale że dziewczyna od razu chce na studia medyczne wyjechać i zostać lekarzem? To już doktorowi wydawało się fanabериą. A może tak naprawdę chodziło mu o to, że straci ją z oczu... Że wyjedzie kiedyś... Tego doktor najbardziej się obawiał. Dlatego postanowił działać.

— Chciałbym jeszcze panienkę o coś zapytać... — Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej malutkie ozdobne pudełeczko. Podeszedł bliżej do dziewczyny i wręczył jej przedmiot z czułością. — Proszę, niech panienka otworzy.

Alicja spojrzała na niego przenikliwie, przez moment wahała się, po czym zaczęła otwierać niebieską paczuszkę. W środku zobaczyła złotą, cienką bransoletkę. Źrenice jej się powiększyły, poczuła falę ciepła, w zasadzie gorąca, która rosła w jej klatce piersiowej. Doznała zawstydzienia pomieszanego z zażenowaniem.

— Ale cóż to ma znaczyć, doktorze? — wydusiła z siebie.

— Alicjo, już dawno nosiłem się z tym zamiarem. Nie chciałem ci od razu wręczać pierścionka, aby cię nie wystraszyć,

dlatego pomyślałem, że to na razie będzie symbolem mego uczucia do ciebie. Alicjo, odkąd cię zobaczyłem w szpitalu, pokochałem cię. Na początku sam przed sobą nie chciałem się do tego przyznać. Moja żona zmarła całkiem niedawno i wydawało mi się, że nie będę mógł spojrzeć na inną kobietę. Ale twoja uroda, Alicjo, twoja młodość, energia, siła witalna, dobro, jakie masz w oczach, wszystko zmieniły. Twoje przyjście do szpitala było dla mnie jak wyrwanie mnie z ciemności, w których się znalazłem, gdy zmarła Klementyna...

Doktor Wysokiński mówił i mówił. Z jego ust wylewał się potok słów, a ona czuła, że zastygła z tą falą gorąca w środku, słuchając jego zwierzeń. Jego oświadczyzny poraziły ją niczym światło latarni gazowych rozświetlających dawniej — zanim namiestnik Paskiewicz zabronił ich używania — noce na placu Zamkowym. Wiedziała, że doktor jakiś czas temu został wdowcem. Jego żona zmarła na suchoty, a w szpitalu mówiono, że doktor chodzi smutny, przygnębiony, bo nie może sobie darować, że nie umiał uratować swojej ukochanej. Gdy Alicja przyszła do szpitala, trzy lata minęły od tej śmierci. Zawsze, gdy widziała doktora, jej serce wypełniało współczucie dla niego. Żałowała go, bo widziała, że to dobry i ofiarny człowiek, dla którego szpital jest drugim domem. Choć może po śmierci Klementyny stał się pierwszym, bo doktor przesiadywał w nim dniami i nocami. Siostry szpitalne litowały się nad doktorem w rozmowach, a Alicja nie raz była tego świadkiem. Przynosiły mu posiłki do szpitala. Alicja wiedziała, że doktor z doktorową nie zdążyli mieć dzieci, a mężczyzna po śmierci żony zamknął się w sobie.

Ale że zainteresowałby się nią? Tego Alicja by się w życiu nie spodziewała. Jedyne, co ona miała w sercu dla niego, to współczucie właśnie. Faktycznie, przez ostatnie tygodnie doktor wyglądał nieco pogodniej. Czasami miała wrażenie, że patrzy na nią gdzieś z oddali, a gdy odwracała głowę, spoglądał szybko w dokumenty, które dzierżył w dłoni, historie chorób pacjentów.

Alicja czuła jego wzrok na sobie dość często. Myślała jednak, że bacznie obserwuje ją po to, aby ocenić, czy dziewczyna nadaje się do tej pracy, czy jest w stanie zajmować się pacjentami.

— Ja nie rozumiem, doktorze, czuję się skonfundowana — odparła, patrząc nadal ze zdziwieniem na doktora Wysokińskiego.

— Alicjo, sprawa jest prosta. Proszę panienkę o rękę. Skoro nie ma panienka rodziców, wypada mi poprosić o nią także zasną panienki ciotkę. Czyż ma panienka dla mnie ciepłe uczucia? — spytał doktor Wysokiński i ujął jej dłoń w swoje ręce.

Alicja wzdygnęła się. Nagle powróciła jej trzeźwość umysłu i dziewczyna pomyślała, że tylko tego jej brakowało. Owszem, doktor Wysokiński wydawał jej się miłym i dobrym człowiekiem. W dodatku był całkiem przystojny, miał szanowany zawód. Już sobie wyobraziła, jak ciotka Aurelia przyklasnęłaby temu małżeństwu. Ale Alicja nie przyszła wszak do szpitala, aby szukać miłości. A tym bardziej męża. Ona nigdzie jej nie szukała. Bała się, że miłość, małżeństwo, o którym marzyły jej kuzynki i koleżanki, pokrzyżuje jej plany, zamknie drogę do upragnionych studiów medycznych. Nigdy nie pragnęła zmienności nastrojów, z jakimi wiązało się uczucie do mężczyzny. Choć może akurat doktor Wysokiński zrozumiałby jej idee. W końcu sam był lekarzem.

— Doktorze, jestem zaskoczona i nie wiem, co powiedzieć. Nigdy nie imaginowałam o małżeństwie. Myślałam za to i myślę nadal o medycynie. Chcę ją studiować. Będę się przebiebrała za mężczyznę, jeśli trzeba. Obawiam się, że moje ewentualne małżeństwo mogłoby negatywnie wpłynąć na te plany — odpowiedziała.

Doktor nie wydawał się zaskoczony taką reakcją, ale nie chciał odpuszczać.

— Ależ Alicjo, zaiste imponujący jest twój hart ducha. Zważ na to jednak, że przy mnie będziesz mogła być doktorową. Nie

jest moją intencją rugować z twojego życia pasji. Ja nie mam problemu z tym, że kobieta chce pracować i realizować się choćby w służbie pielęgniarstwie. Mogłabyś nadal pracować tutaj. Moglibyśmy oddawać się pracy wspólnie, a zapewniłbym ci w domu warunki godne twojej osoby. Alicjo, nie wiem, czy studia medyczne, wyjazd za granicę i w dodatku udawanie mężczyzny to dobry pomysł w tych czasach. Wyobrażasz sobie, co by się mogło stać, gdyby twoja mistyfikacja wyszła na jaw? Po co ci to, Alicjo, nie dość już trudów znosiłaś w swoim życiu? Bo wyobrażam sobie, że do łatwych ono nie należało, skoro jesteś sierotą. — Doktor Wysokiński spojrzał na nią wymownie.

Nie podobało jej się to, co mówił. Słowa „sierota” wręcz nie cierpiała. On próbował ją odwieść od realizacji jej powołania. Bo nie była przekonana, aby jej przeznaczeniem było małżeństwo, które wiąże się z licznymi obowiązkami. Wyobraziła sobie, że wtedy o jakiegokolwiek medycynie dopiero mogłaby pomarzyć. Póki zaś była wolna i niezależna, wizja studiowania wydawała się całkiem realna. O ile oczywiście zmieniłyby się zasady przyjęcia na uniwersytety, albo przyjęto by ją jako mężczyznę.

— Nie wiem, co powiedzieć. Nie planowałam iść za mąż. Muszę to wszystko sobie przemyśleć — odparła Alicja.

Doktor nie wydał się zdziwiony taką odpowiedzią.

— Rozumiem, że panienkę zaskoczyłem. Nie sądziłem, że będzie inaczej. Proszę to rozważyć, Alicjo. To, o czym mogę zapewnić, to to, iż będę panienkę szanował i kochał — oświadczył stanowczo.

Alicja odsapnęła. Dygnęła i wyszła, zabierając jednak bransoletkę, którą podarował jej przełożony. Czy mogła wierzyć doktorowi? Był niewątpliwie szlachetnym i uczciwym człowiekiem, w dodatku oddanym pacjentom. Ale był też mężczyzną. Alicja wiedziała, co robią mężowie. Miała świadomość, że niektórzy z nich deklarują jedno, a później czynią drugie. Domy uciech w Warszawie są pełne żonatych panów, którzy roznoszą później

choroby. W szpitalu Łazarza, do którego czasem też chodziła po cichu, w tajemnicy przed ciotką Aurelią, kłębiło się od zarazy tym, czym można było się zarazić w burdelach. Dlatego między innymi z dużą rezerwą podchodziła do małżeństwa. W zasadzie nie wiedziała dokładnie, na czym ono ma polegać. Jedynie kogo mogła obserwować nieco bliżej, to związek ciotki Aurelii i zmarłego wuja. On odszedł pięć lat temu. Czy tworzyli udane małżeństwo? Alicji tak się wydawało, ale czy Aurelia była szczerą, wspominając czasem z rozrzewnieniem wuja?

Dziewczyna takie odnosiła wrażenie. Miała nadzieję, że wuj Adam był uczciwym mężczyzną. Choć gdy przypominała sobie, co widziała w szpitalu Łazarza, nie miała co do tego stuprocentowej pewności.

Ale Alicji już nawet nie chodziło o mężczyzn. Wydawało jej się, że małżeństwo oznacza koniec jej marzeń o studiowaniu medycyny. A tę kochała najmocniej. Pomoc chorym dawała jej poczucie sensu, sprawczości i kołała jej własne wewnętrzne bóle.

„Nie, przecież jasne jest, że nie mogę wyjść za doktora Wysockiego” — pomyślała tego dnia, opuszczając szpital.

Mimo podziwu, jaki ma dla niego, dla jego umiejętności medycznych i wiedzy. Są ważniejsze idee, którym odda swoje życie. Skoro jej ojciec oddał życie idei, poświęcił je dla niej, ona też tak może uczynić.



## Rozdział 3



ZIMA nie dawała za wygraną. Luty z coraz dłuższym dniem powitał mieszkańców Warszawy słońcem i siarczystym mrozem. W dzień temperatury dochodziły do minus dwudziestu stopni. Warszawiacy pośpiesznie przemykali przez miasto. Damy oparte na ramieniu mężów albo ojców czym prędzej przechodziły z dorożek do budynków, tak aby nie narazić się na odmrożenie policzków. Niejedna z nich chwiała się, przechodząc kilka kroków po oblodzonym chodniku. Toteż najczęściej szła za nimi służąca, aby asekurować panią na wypadek, gdyby ta miała spektakularnie upaść.

Na ulicach rzadziej przez ostatnie tygodnie można było spotkać nawet policję carską, tak ochoczo zazwyczaj kontrolującą, obserwującą warszawiaków. Żandarmi woleli kryć się na posterunkach, dogrzewać się mocniejszymi trunkami, aniżeli patrolować drogi. W efekcie ciała żebraków, którzy zamarli na zewnątrz, leżały dłużej w zakamarkach ulic, przyprószone często śniegiem, nim ktokolwiek je znalazł.

Szpital na Woli przeżywał jeszcze większe obłożenie. Codziennie przybywało pacjentów wyziębionych, z odmrożonymi kończynami, a często już w stanie takiej hipotermii, że nie dało się ich uratować. Nie było dnia, w którym Alicja nie byłaby świadkiem śmierci albo amputacji kończyn. Często, gdy opuszczała wieczorem szpital, w głowie pobrzmiwały jej krzyki tych nieszczęśników, którym doktor Wysokiński czy jego koledzy

amputowali członki. Żałowała, że wielu doktorów jest jeszcze niechętnych używaniu eteru jako środka znieczulającego, o którego niezwykłych właściwościach co rusz słyszano w gronie lekarskim w Warszawie. Ale tylko nieliczni medycy zdecydowali się go używać, i to niekiedy w tajemnicy przez zacnym towarzystwem lekarskim.

Alicja robiła z innymi pielęgniarkami wszystko, co w jej mocy, aby ulżyć nieszczęśnikom, ale nie wszystkim była w stanie pomóc. Nie raz i nie dwa kłóciła się w duszy z Bogiem i pytała, dlaczego dopuszcza do takiego cierpienia ludzkiego. Najmocniej czuła jednak bezsilność. Wściekała się, że przegrywali w szpitalu tę walkę o życie.

Doktor Wysokiński, widząc popołudniami trwogę na jej twarzy, zmęczenie, jakie wychodziło z niej po całym dniu pracy, tłumaczył, że obcowanie ze śmiercią jest nieodłącznym elementem pracy pielęgniarki i lekarza. Doktor zresztą sam był bardzo blisko śmierci. Pożegnał żonę i wiedział, że na wiele sytuacji człowiek nie ma wpływu. Śmierć jawiła się mu jako wielka tajemnica.

Alicja doceniała spokój i opanowanie przełożonego. Był od niej starszy zaledwie o dziesięć lat, a już tyle wiedział, miał tyle doświadczenia. Często uśmiechał się do niej czule z oddali. Dziewczyna wiedziała, że spogląda na nią co raz, gdy przechodzi przez korytarz albo omawia coś z główną siostrą. Wiedziała, że musi dać mu jakąś odpowiedź, bo ten człowiek nie zasługuje na to, aby go zwodzić. Zmęczenie ostatnich dni sprawiało jednak, że nie umiała nawet klarownie zebrać myśli, aby przygotować się do rozmowy.

Wracała do swojego mieszkania przy Alejach Jerozolimskich tak wyczerpana, że nie miała już sił nawet otwierać książek, a tym bardziej się uczyć. Niemniej jednak dziękowała Bogu, że może pracować i swobodnie jeździć do szpitala bez niczyjego nadzoru.

Któregoś wieczora, gdy później niż zwykle wróciła ze szpitala, bo tyle było pracy, jej służąca Pelagia poinformowała ją,

że był posłaniec. Kazał przekazać, iż ciotka Aurelia za tydzień organizuje przyjęcie. Alicja jest na nie zaproszona i gorąco oczekiwana.

*„Aurelia Długolecka*

*prosi swą bratanicę Alicję Rettel  
o łaskawe przybycie na przyjęcie, które  
odbędzie się 2 lutego, w niedzielę Anno  
Domini 1850 o godz. 14.00.*

*Strój wizytowy. Kijowska 4/7”*

— przeczytała Alicja na zaproszeniu zostawionym przez posłańca.

„Tego mi tylko brakowało” — pomyślała dziewczyna, podając płaszcz Pelagii. Ostatnią rzeczą, na jaką miała teraz czas i ochotę, było przyjęcie. Zdawała sobie jednak sprawę, że słowo „gorąco” oznacza w ustach cioci Aurelii: koniecznie. W zasadzie nie mogła odmówić pojawienia się na tym wydarzeniu. Uratowałyby, usprawiedliwiłaby ją tylko choroba. Ale Alicja mimo codziennej styczności z rzeszą pacjentów jakoś nie chorowała.

Śmietanka towarzyska Warszawy nie znosiła próżni. Mróz, zimno i mało atrakcji na zewnątrz, poza okazjonalnymi kuligami, skłaniały do organizacji przyjęć w domu. A już ciotka Aurelia kochała je, bo miała wreszcie większą widownię i mogła sobie pośpiewać do dźwięków, jakie wydawał z siebie jej fortepian, zazwyczaj pieszczony palcami pana Alfreda Zalesińskiego.

Alicja dostała zaproszenie na najbliższą niedzielę. To była akurat jej wolna niedziela, a przed nią sobota, i dziewczyna planowała się uczyć, ale odmówienie ciotce będzie bardzo trudne. Zresztą nie widziała jej od dawna. Jej stosunki z Aurelią nie-

co się ochłodziły po pamiętnej propozycji, aby dziewczyna zamieszkała ze swą krewną.

„Teraz pewnie wszystkie przyjaciółki i dalsze kuzynki Aurelii będą mnie piętnować, bo się nie zgodziłam. Te kuzynki są i poniekąd moimi kuzynkami. W końcu Aurelia jest siostrą mojego zmarłego ojca. Będą patrzeć na mnie tym świdrującym wzrokiem i szeptać po kątach, że w głowie mi się przewraca” — pomyślała Alicja i wzdrygnęła się na myśl o przyjęciu.

Walczyła ze sobą w duchu, że może jednak nie pójdzie... Może jednak każe zawiadomić ciotkę Aurelię, że się źle czuje i jest wysoce niedysponowana. Pelagia jej nie wyda. Ale zaraz później pomyślała, że co to będzie, jak zjawi się na drugi dzień, w poniedziałek, w pracy i ktoś cioci o tym doniesie. Wbrew pozorom Warszawa była małym miastem, a wymiana informacji, zwłaszcza między służącymi, kwitła. Ona wprawdzie mogła polegać na Pelagii, ale nie ufała do końca choćby służącej Aurelii — Marcysi. Ta zawsze była na bieżąco z wszelkimi plotkami.

„Zagryzę zęby i pójdę. Już trudno. Tylko na chwilę ewentualnie. Ciocia Aurelia jest w końcu moją jedyną bliską krewną. Nie mogę się od niej odciąć” — pomyślała Alicja i pogodziła się z tym, co ją czeka w niedzielę. Zawołała do siebie Pelagię i poprosiła ją o przygotowanie sukni na przyjęcie.

— Ależ panienko Alicjo, panience przydałaby się nowa suknia. Trzeba umówić modystkę i podjechać do niej jak najszybciej. W tej niebieskiej sukni, która wisi w garderobie, panienka już pojawiała się poprzednio na przyjęciach u szanownej cioci — przekonywała ją Pelagia.

„No tak. Nie dość, że pracuję, mieszkam sama, to jeszcze pojawię się na przyjęciu w tej samej sukni. Och, dam kuzynkom temat do rozmów. Będą miały o czym konwersować przez kilka godzin albo i przez kilka następnych dni. A niech gadają. Zajmą się może moją sukienką, a nie odmową zamieszkania z ciotką” —

pomyślała Alicja i poleciła Pelagii, aby ta zaczęła przygotowywać jednak niebieską suknię.

Lutowa niedziela przyniosła odwilż. Mróz nieco odpuścił, a słońce przygrzało mocniej. Śnieg, który bezwzględnie zakrył drogi, zakamarki ulic, a także dachy budynków, zaczął topnieć. Czapy śniegu zaczęły spadać z dachów. Przechodnie musieli uważać, chcąc ochronić głowę, a nieraz i życie. Ładunek spadający na chodnik niejednej osobie zadał śmiertelny cios. Pół biedy, gdy jeszcze kogoś uderzonego znalazła policja. W szpitalu go czasem odratowano. Gorzej, gdy kula śnieżna spadła na niego gdzieś w rogu, w zaciszu ulicy, i leżał tam, dopóki ktoś go nie odnalazł.

W taki oto dzień, który zwiastował rychłe nadejście wiosny, Alicja przemierzała warszawskie ulice, siedząc w dorożce. Jechała na przyjęcie do Aurelii.

Dziewczyna dojechała do kamienicy, w której mieszkała ciotka, tuż po godzinie czternastej. Nie spóźniła się nadto, no, może odrobinę. Wysiadła z powozu, spojrzała na swoją niebieską suknię i uznała, że Pelagia dobrze się spisała. Suknia była dokładnie wyczyszczona po poprzednim przyjęciu, a koronki nadal dobrze wyglądały. Alicja uniosła spódnicę i zaczęła wchodzić po schodach. Nie było daleko, gdyż Aurelia mieszkała na pierwszym piętrze. Drzwi otworzył Antoni.

— O, dzień dobry, panienko Alicjo. Jak miło panienkę widzieć, pięknie panienka wygląda. Właśnie podajemy pierwsze danie. — Powitał ją uśmiechem już na wejściu. Z głębi mieszkania słychać było gwar rozmów, głośnie śmiechy, przez które głos kamerdynera ledwo się przebijał.

Dziewczyna zdjęła wełnianą narzutkę, oddała szal lokajowi i zaczęła poprawiać włosy. Przegarnęła dłonią swoje rudozłote pukle, tak aby spływały jej po lekko odsłoniętych, alabastrowych obojczykach. Błękit sukni podkreślał kolor włosów, a dodatkowo wybijał na pierwszy plan zielononiebieskie oczy.

Gorset sukienki oplatał kibić Alicji i podkreślał smukłość jej sylwetki, ale dziewczyna nie dała Pelagii nazbyt mocno go zawiązać. Snurowała go tak, aby móc swobodnie oddychać, bo widziała w szpitalu, jakie spustoszenia kręgosłupom kobiet przynosiło ciasne, do granic możliwości, wiązanie gorsetów. Krzyże bolały, były nienaturalnie powyginane, a niejedna dama nie umiała chodzić bez gorsetu, gdyż ściskana nim od młodości lat, bez niego nie była w stanie prosto ustać i czuła wiotkość. Toteż Alicja, świadoma tego zagrożenia, zostawiała sobie miejsce, luz w gorsecie, także aby móc coś zjeść.

Weszła do ogromnego salonu. Gościom w istocie nalewano już rosół z białych waz. Alicja z przyjemnością zaciągnęła się apetycznym zapachem. Wszyscy zajęci byli rozmowami i nie zwrócili uwagi na nowo przybyłą, ale wypatrzyła ją Aurelia. Wstała od stołu, podeszła do siostrzenicy i ucałowała ją, a w zasadzie musnęła w policzek.

— Alicjo, moje dziecko. Jakże się cieszę, że dotarłaś. Już się niepokoiłam, czy coś ci się nie stało. Moi drodzy, oto moja siostrzenica Alicja. Większość z was ją zna, ale jest tu kilka osób, które po raz pierwszy przybyły na moje przyjęcie — zaanonowała ciocia Aurelia.

W istocie, Alicja, rozglądając się po twarzach, rozpoznała ich większość. Ale nie знаła wcześniej pary siedzącej przy rogu stołu. Nie kojarzyła mężczyzny zajmującego miejsce nieopodal cioci Aurelii, po jej prawej stronie.

Rozpoznała za to dalsze ciocie — siostry cioteczne Aurelii i ojca Alicji. Dostrzegła przy stole także ich córki. Omiatając szybko wzrokiem pomieszczenia, naliczyła w pośpiechu około trzydziestu osób. Goście spoglądali na nią. Dalsze kuzynki zawiesiły wzrok na sukni Alicji i zaczęły coś szeptać między sobą. Alicja dygnęła, przeszła obok stołu i zasiadła po lewej stronie cioci Aurelii, gdzie czekało na nią przez nikogo niezajęte miejsce.

Marcysia natychmiast podała dziewczynie rosół, bo wszyscy goście zdążyli już zacząć go jeść. Gdy Alicja skosztowała kilku łyżek aromatycznego wywaru, poczuła, jak w jej ciele rozpląta się przyjemne gorąco. Zimową, mroźną porą tłusty rosół był jak lek. Na drugie danie podano polędwiczki po cygańsku. Alicja rozkoszowała się ich smakiem. Trzeba przyznać, że co jak co, ale Marcysia, choć plotkować uwielbiała, gotowała wybornie.

Ze stanu wewnętrznej rozkoszy, spowodowanej ciepłem rozplądającym się w jej ciele, wyrwało Alicję nagłe pytanie.

— Panience chyba smakuje? Muszę przyznać, że kuchnia cioci panienki jest wyborna — zagadał siedzący obok młody mężczyzna, spoglądając na nią nieśmiało.

Jego kręcone włosy koloru ciemny blond zwisały mu nad czołem, tak że musiał co chwilę je poprawiać i odgarniać. Pachniało od niego perfumami i niestety Alicja poczuła, jakby ten zapach osiadł na daniu, które właśnie spożywała. Imaginowała, że nieznajomy opryskał się jakąś wodą kolońską przywiezioną z Paryża. Jego garnitur też wyglądał nietanio, jak z żurnala.

— Tak, to rozkosz dla podniebienia zjeść takie dania — przytaknęła z nieco wymuszonym uśmiechem.

Ciocia Aurelia, słysząc to, odchyliła głowę.

— Cieszę się, moi drodzy, że wam smakuje. Kazałam Marcysi dopilnować każdego szczegółu, starannie odmierzyć przyprawy — oznajmiła, spojrzała jednak wymownie na talerz Alicji, później na nią samą.

Alicja знаła to spojrzenie. Oznaczało, że dama nie powinna tyle jeść, bo to nie przystoi. Dziewczyna czasem brała sobie do serca uwagi ciotki, a czasem nie. Miała niekiedy takie problemy z trawieniem niektórych pokarmów, że gdy zdarzały się dni, gdy czuła się dobrze i mogła czegoś spokojnie skosztować, nie chciała się ograniczać. Zdawała sobie sprawę, jakie spustoszenie w organizmie wywołuje niedożywienie. Zresztą potrzebowała czuć się najedzona, silna, bo codziennie chodziła do

szpitala, a tam trzeba było dużo krzepy do działania. Nie tylko tej siły ducha, ale przede wszystkim ciała. Choć na początku pracy w szpitalu starała się nie chodzić tam z pełnym żołądkiem. Widoki, zapachy, jakie unosiły się w salach szpitalnych, były tak dojmujące, że Alicji nieraz zdarzało się wymiotować. W tym momencie swojego życia była już uodporniona, ale wielu doktorów po wejściu na salę, na której przebywali chorzy, od razu opróżniało żołądek.

W takich okolicznościach nieraz słuchała opowieści doktora Wysokińskiego o tym, jak badał panny z bogatych domów, które miały zaburzenia odżywiania. W dzień prawie nic nie jadają, zaś w nocy — jak same przyznawały — chodziły po cichu do kuchni, aby napełnić żołądek. Rano, dręczone wyrzutami sumienia po nocnych eskapadach i z obawy, że nie zapną się dostatecznie mocno w gorsecie, wymiotowały. W zasadzie zmuszały się do wymiotów.

Zresztą nie tylko z opowieści doktora Wysokińskiego Alicja знаła sytuację. Słyszała podczas niejednego przyjęcia, jak dalsze kuzynki, córki obecnej na przyjęciu cioci Rozalii czy cioci Urszuli, opowiadały, jakie pyszności znajdowały w kuchni nocą.

Klementyna, Helenka i Amelia i dziś były obecne na przyjęciu. Alicja spojrzała na nie, podnosząc widelec z kawałkiem polędwiczki do ust, i żał jej się ich zrobiło. Siedziały nad do połowy opróżnionymi talerzami i pod baczynym okiem swoich matek rozmawiały. Cóż miały zrobić, skoro nie mogły się najeść?

Alicja zatem postanowiła nie zważać na to, co sądzi o niej ciocia Aurelia. Jej krewniaczka wszak sama całe życie chodziła niedożywiona. Teraz w zasadzie dopiero pozwalała sobie się najeść. Alicja nie wiedziała, czy wuj Adam jej kiedyś na to nie pozwalał, czy wstydziła się zjeść przy nim dwa dania, ale wyraźnie się dawniej ograniczała w spożywaniu posiłków. Siedząc z nią dawniej przy jednym stole, można było odczuć złośliwość w jej głosie, gdy coś komentowała. W zasadzie humor jej wracał,



dopiero kiedy wstawiała od stołu i mogła zaśpiewać dla zaproszonych gości.

Dziś ciocia Aurelia może i była bardziej zaokrąglona w biodrach, ale wyraźnie też łagodniejsza. Alicja przypisywała to poczuciu sytości żołądka. Dlatego mimo pouczeń cioci nie zamierzała nie dojadać. Mężczyźni jedli do syta, często po spożyciu dwóch pierwszych dań wychodzili na kolejną ucztę dla nich — na fajkę. Alicja była tak samo ludzką istotą i potrzebowała pożywienia, aby pracować, uczyć się i mieć przytomny umysł. I tak sobie ułożyła relację z pożywieniem, które miało służyć jej, a nie ona miała być jego zakładnikiem.

Rozważania Alicji na temat różnych stosunków do pożywienia przerwała nagle ciocia, która wstała i zaanonsowała, że chce wnieść toast.

— Pragnę uczcić nasze małe spotkanie. Jestem niezmiernie zaszczycona, że do mnie przybyliście. Chciałam wnieść toast za moich wspaniałych gości, zwłaszcza za moją siostrzenicę. — Uniosła kieliszek i spojrzała znacząco na Alicję. Dziewczyna zaś zdziwiła się mocno tym zachowaniem krewniaczki. Pierwszy raz w życiu wznosiła za nią toast.

— Jak wiecie, nie dane mi było mieć potomstwa z moim zmarłym mężem. Najbliższa jest mi Alicja, czyli córka mojego zmarłego brata. Ona to wszystko po mnie odziedziczy i chciałabym, aby dobrze jej się powodziło, aby wyszła za mąż za zacnego kawalera — powiedziała ciocia, spoglądając raz na Alicję, raz na siedzącego obok niej młodego człowieka.

Maurycy mu było na imię. Zdążył się już przedstawić Alicji. Dziewczyna zaczęła przeczuwać, o cóż cioci Aurelii chodzi. Ona chciała ją wydać za mąż! Alicja pomyślała, że być może po to zorganizowała przyjęcie, aby przedstawić ją w towarzystwie jako pannę na wydaniu. Przepłynęła przez nią fala goryczy. Zaraz jednak dziewczyna przywołała się do porządku i uznała, że nie zamanifestuje swoich emocji. Uśmiechnęła się tylko